

ŚCIANA 05

piąta ściana

[90]

Sąsiedzi

18.06.2010

To już jest koniec...

Festiwal „Sąsiedzi” dziś dobiega końca; jeszcze tylko trzy spektakle, koncert **Red Shoes**, czyli **Boogie Band** (przeniesiony na godzinę 20:00) i nastąpi uroczyste ogłoszenie wyników. O tym, kto dostanie Perły „Sąsiadów” zadecyduje jury w składzie **Irina Lappo**, **Henryk Kowalczyk** i **Jerzy Wrzos**. Wyróżnioną tradycyjnie pięć spektakli w kategoriach, które sami wyznaczają. Nagrody zostaną wręczone w **Zielonym Ogródku GramOFFonu** po ostatnim spektaklu, **około godziny 00.30**.

W ramach tegorocznego nurtu głównego, skoncentrowanego wokół motywów, wątków i inspiracji sztukami Szekspira, zostało zaprezentowanych aż dziewięć spektakli (dziś pokazane będą trzy z nich). Jak do tej pory przerażały swobodne doświadczenia doświadczenia twórczości wielkiego dramaturga, przede wszystkim w formie parodystycznej gry z wzorcem („Hamlet” Teatru Tulave, „Otello” Teatru Lalkowego z Żyliny), wykorzystania wątków do pokazania nowych, współcześnie istotnych problemów („Dwie historie miłosne” Stowarzyszenia Pełna Kultura, „Już się Ciebie nie boję, Otello!” Sceny In Vitro). Bardziej może tradycyjna, ale wciąż niestandardowa, była lalkowa wersja „Snu nocy letniej” Teatru Lalek z Grodna oraz muzyczny (żeby nie powiedzieć musicalowy) „Romeo i Julia” wielokrotnie goszczącego w Lublinie Brzeskiego Teatru Dramatu i Muzyki. Ale takie też było założenie organizatorów, którzy na Festiwalu nie przewidywali sześciogodzinnej, pełnej realizacji „Hamleta”, zamiast tego pragnęli udowodnić, że Szekspir jest stale na topie i, mimo swoich 400 lat, ma się dobrze; trzymając rękę na pulsie, wciąż oddziałuje na teatr.

Przewidując pojawienie się na Festiwalu antyfanów angielskiego dramaturga, organizatorzy zadbali o urozmaicenie programu propozycjami z Szekspirem żadną miarą niezwiązanymi. Tu wyróżniał się ilościowo Teatr Korez, który zaprezentował aż dwa spektakle, które utwierdziły lublinian w sympatii dla katowickiego zespołu (a mnie samą dla Mirosława Neinerta). Zaskoczył bielski Teatr Baniałuka niezwykłą plastycznie interpretacją dzieła innego wielkiego twórcy, Eugène Ionesco „Król umiera”, a czeski Déca la ges zaczarował pięknymi obrazami. Po raz kolejny nie pojawiło się jednak dzieło „wbijające w fotel”. Poczekajmy jednak, co wydarzy się dzisiaj.

Teraz pozostaje mi jedynie zaprosić do lektury ostatniego już numeru gazety festiwalowej „Piąta ściana”,

Justyna Czarnota

Spektakl to współpraca

Rozmowa z Lucyną Sypniewską i Radosławem Sadowskim, aktorami Teatru Baniałuka w Bielsku-Białej

Kto był główną siłą napędową tego spektaklu?
Lucyna Sypniewska : François Lazaro, czyli nasz reżyser. On dobrał sobie taką a nie inną obsadę, więc spektakl jest również efektem naszej wspólnej pracy.

Łatwo było Państwu zaakceptować pomysły reżysera?
L. S.: To jest trzecia realizacja z Lazaro w naszym teatrze. Część zespołu współpracowała z nim już ponad dwadzieścia lat temu, 10 lat temu robiliśmy w zespole polsko-francuskim spektakl „Martwe Słowa”. To reżyser, który bardzo wsłuchuje się w aktorów i korzysta z naszej wrażliwości podczas pracy nad spektaklem.

c.d. str. 2

Muzyczne wieczory

Od początku „Sąsiadom” towarzyszył klub festiwalowy w ogródku GramOFFonu, gdzie wieczorami odbywały się imprezy muzyczne. Na środę i czwartek zapowiedziane były koncerty jazzowe: Mariusz Bogdanowicz i goście oraz Lubelskie Trio Jazzowe.

Wydarzenia towarzyszące przez ostatnie dwa wieczory przyniosły sporo niespodzianek. Pierwszą z nich była zmiana śródowego repertuaru. Kiedy przekroczyłam ogródkową furtkę i stanęłam naprzeciwko sceny, nie ujrzałam tak wyczekiwanego Mariusza Bogdanowicza... Jazz jednak pobrzmiwał. Gośćmi GramOFFonu byli studenci Wydziału Artystycznego UMCS. Liczne grono występujących sprawiło, że często zmieniali się na scenie zarówno wokaliści, jak i instrumentalni. Młodzi muzycy wykonywali covery popularnych utworów polskich i zagranicznych w jazzowych aranżacjach.

c.d. str. 3

Nie tylko król umiera

Teatr Białaluka, *Król umiera*

Tendencję do odsuwania myśli o własnej śmierci w odległą przyszłość wykazuje chyba większość ludzi. „Ja umrę. Ależ oczywiście, ale przecież nie teraz” i tak stale, aż pstryk i okazuje się, że już po wszystkim. Niezaprzątanie sobie na co dzień głowy śmiercią dziwić nie może, bo czy nie lepiej myśleć o tym, co tu i teraz? Jednakowoż od czasu do czasu nie zawadzi zadumać się nad kwestią umierania. Efekty tych rozważań mogą przyczynić się do poprawy jakości życia doczesnego i równocześnie oswoić z faktem jego krótko metrażowości. Okazję do nich stwarza spektakl „Król umiera” Teatru Białaluka z Bielska-Białej.

Twórcy nie szukają reinterpretacji, które tekst Ionesco uczyniłyby atrakcyjniejszym dla współczesnego widza – to zbędne, bo poruszany przez absurdistę temat zawsze będzie aktualny. Postawiono raczej na solidną lekturę utworu, niż snucie aktualnych aluzji. Choć pewne skojarzenia same się nasuwają – bo przecież z jednej strony król umiera, ale z drugiej śmierci tej towarzyszy cała gromada pozostających przy życiu dworzan prezentując gamę zachowań wobec zgonu władcy. W obliczu śmierci ważnych postaci życia publicznego nagłaśnianych do ekstremum w mediach – czy to króla popu, czy królowej ludzkich serc, głowy kościoła czy państwa – szczególnie dwie sceny możemy odnieść do dzisiejszych realiów. Pierwsza to ta, w której królewska świta w prywatnej rozmowie idealizuje zmarłego Berengera, mimo iż z wcześniejszych słów jasno wynika, że absolutnie mu się to nie należy i jego odejście należałoby raczej uczcić kieliszkiem szampana. Drugą jest oficjalna wypowiedź strażnika, stylizowana na komunikat telewizyjny, w którym obwieszczane są rzekome dokonania króla, skłamanie w sposób tak jawny, że aż śmieszny. Obie wiele mówią o naszym stosunku do umierania – czyż przejście do, nazwijmy to umownie, wieczności, automatycznie wykrzywia obraz danej osoby – każe nam widzieć w niej kogoś lepszego, przymknąć oko na słabości. Może to rodzaj zabezpieczenia na przyszłość, aby i o nas mówiono w sposób dodatni, gdy sami nie będziemy już w stanie wpływać na opinię na nasz temat.

Zacząłam jednak trochę od końca, bo na pierwszy plan wysuwa się w przedstawieniu jednostka w obliczu własnej śmierci. Ionesco wybrał postać króla nie bez przyczyny – to osoba utożsamiana z maksymalną władzą, jaką dysponować może człowiek. Okazuje się, że, wobec agonii, jego rozkazy nie mają racji bytu. Są podobne zakłębom, rzucanym przez małe naiwne dzieci, które uwierzyły w opowiadane im bajki o wrózkach. W rozporządzeniach, mających ocalić życie, król zapędza się tak daleko, że gotów jest poświęcić całą ludzkość i egzystować przez wieczność w samotności – jego zachłanność i woła życia osiagają w tym momencie zenit.

A przecież byłoby to egzystowanie marnej próby, bo ciało władcy już dawno stało się więzieniem dla jego wciąż żywej duszy. Gdyby zabrakło ludzi, gotowych troszczyć się o niego, zmieniłoby się w torturę lub co najwyżej wegetację. Tę dychotomię duszy i ciała unaocznia wyraźny podział na aktora i animowaną przez niego tekstylną grudę. Podczas gdy zdeformowana materia, uziemiona w centralnym miejscu sceny,

zdolna jest tylko do nieskoordynowanych ruchów, aktor opuszcza jej wnętrze. Ale i ta miotająca się po scenie dusza w zbyt dużym stroju i z podkrążonymi oczami jest już tylko popłuczyną po swojej dawnej wielkości. Król nie potrafi dostrzec feralności swojego położenia, nie zdaje sobie sprawy z postępującego procesu unicestwienia jego sił vitalnych i władz umysłowych. Berenger długo nie dopuszcza do siebie myśli o nieodwracalnym końcu, którego jego poddani zdają się w znużeniu wyczekiwać.

Można by pewnie szukać w spektaklu odniesień do poprzedniego stroju politycznego czy lat niewoli – czasów dyktatury i ciemienia narodu, jednak wolę tego nie robić, choćby z tego względu, że odeszły one do przeszłości i taka perspektywa niczego nowego nie wniesie. Wolę widzieć w widowisku bielskiego teatru ponadczasowe i uniwersalne studium umierania człowieka po prostu, z pominięciem jego królewskiego rodowodu.

Kaśka Piwońska

Spektakl to współpraca, cd.

Ale zapewne narzuca również swoje rozwiązania...

L.S.: Tak, przede wszystkim narzucił nam pewien rodzaj pracy z lalką. Trzeba zdać sobie sprawę z faktu, że nasza polska szkoła prowadzenia lalek jest nieco inna. Jako aktorzy jesteśmy jednak otwarci na każdą propozycję, która przyczynia się do tworzenia dobrego spektaklu. W ogóle praca nad spektaklem to stałe dogadywanie się na linii reżyser – aktor, aktor – scenograf, aktor – aktor. Są kłótnie i spory, ale wiadomo – twórcze.

Radosław Sadowski: Przede wszystkim reżyser narzucając jakąś wizję, pyta się jak się w tym czujemy.

Dbaj o aktora?

L.S.: Ma świadomość, że żeby coś zrobić, dobrze zagrać, trzeba w to uwierzyć!

Podczas oglądania spektaklu nie mogłem pozbyć się wrażenia pokrewieństwa jego stylistyki z „Diuną” Davida Lyncha – kostiumy, główna postać nawiązywała trochę do Barona Harkonenna w sensie wizualnym. Czy reżyser inspirował się tym filmem?

R.S.: To pytanie, które powinien pan zadać reżyserowi.

L.C.: Myślę, że nie! Przez całe życie oglądamy jakieś filmy, spektakle, spotykamy różnych ludzi w mózgu człowieka zostają obrazy. Może się przecież zdarzyć, że te pojawiają się w przyszłości na scenie w jakiejś formie.

R.S.: Jeśli chodzi o inspiracje, reżyser szukał różnych obrazów, sam przyniosłem mu książkę z rysunkami Witkacego.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Stanisław Śliwa

Fotografia na ulicy

W dobie aparatów cyfrowych, dostępnych dla każdego, przeciętny człowiek ma zapewne czasami dość nieustannego pstrykania zdjęć. Fotografie, uwieczniające niemalże każdy krok naszego życia, często okazują się tylko zbędnymi folderami, zaśmiecającymi komputer. Rzadko sięga się do zatrzymanych w kadrze banalnych chwil i zabawnych sytuacji, zdjęcia często robione są bez zastanowienia i bez koniecznego dla fotografii skupienia na uwiecznianej osobie.

Uliczne Atelier, projekt dwóch fotografów – Piotra Chlipalskiego i Michała Mrozka – to przedsięwzięcie dość nietypowe. Panowie zapraszają wszystkich chętnych do dość prowizorycznego atelier, by tam, na białym tle, uwiecznić każdego takim, jakim był w danej chwili. Projekt wystartował niespełna rok temu i jest próbą skupienia uwagi na jednostce. Uliczne Atelier za wiatało do Lublina jako impreza towarzysząca Festiwalu Europy Środkowej „Sąsiedzi”. W ciągu dwóch dni przez sześć godzin każdy przechodzień mógł zrobić sobie zdjęcie, które potem będzie zamieszczone w Internecie.

Czy projekt spotkał się z zainteresowaniem lublinian? Piotr Chlipalski uważa, że w Polsce mamy problem z poprzednim systemem politycznym, który spowodował naszą narodową nieufność. Polacy uważają podobno, że jak ktoś robi im zdjęcia, to coś w tej sytuacji jest nie w porządku, tym bardziej, kiedy robi je na ulicy. A jeśli Polak dowiaduje się, że to wszystko jest za darmo, jest przekonany, że to sprawa nieczysta – ktoś chce go oszukać, a zdjęcie wykorzystać w złych celach. Na dodatek pojawia się jeszcze jedno zagrożenie, czyli Internet. Chlipalski podkreśla jednak, że Lublin nie jest w żaden sposób odmiennym miastem. Ludzie jak wszędzie śpieszą się, często nie mają czasu i ciężko jest ich na chwilę zatrzymać. Kiedy jednak udaje się tego dokonać, zaczynają się czary, niezależne od miejsca. Fotograf podkreśla też, że ludzie są kolorowi, intensywni i piękni, a o tym właśnie jest ten projekt.

Kiedy przegląda się zdjęcia wykonane podczas projektu, uderza fakt, że na większości z nich są młodzi ludzie. Chlipalski śmieje się, że wynika to z faktu, że młodzi poruszają się szybciej, dzięki czemu przechodzi ich znacznie więcej, a co za tym idzie łatwiej kogoś namówić. U starszych zauważa natomiast dużo skromności, która wywołuje opór przed fotografowaniem się. Twórca przyznaje jednak, że zdarza się wiele uroczych sytuacji, kiedy ktoś przychodzi specjalnie, żeby dać się uwiecznić, bo chce, żeby zostało po nim zdjęcie. Starsi przyznają też, że poprzednie zdjęcia mieli wykonywane wiele lat temu u fotografa.

Fotografom przez cały czas trwania projektu pomagało dość liczne grono wolontariuszy, którzy mieli za zadanie zachęcać ludzi do zrobienia sobie zdjęcia. Sami wolontariusze śmiali się, że chwilowo zamienili się w naganiaczy, ale to właśnie dzięki ich pomocy przy Ulicznym Atelier zatrzymywało się sporo osób. Wolontariusze informowali też wszystkich fotografowanych o założeniach projektu i rozdawali ulotki z adresem strony, na której już niebawem pojawią się zdjęcia z Lublina. Piotr

Chlipalski twierdzi jednak, że aby odnaleźć mieszkańców naszego miasta wśród wszystkich sfotografowanych, konieczne będzie zastosowanie kryteriów wyszukiwania, bo nie różnią się oni od mieszkańców innych miast. Czy rzeczywiście? O tym już niebawem będzie się można przekonać na stronie atelier.pokochajfotografie.pl

Kaśka Plebańczyk

PS Zdjęcie autorki również znajdzie się na stronie. Było przepustką do rozmowy z twórcami projektu.

Muzyczne wieczory, cd.

Choć przygotowanie wokalne i muzyczne studentów WA UMCS było naprawdę dobre, to nie udało im się zaskoczyć licznie zgromadzonej publiczności – występ był przezroczysty. Miałam wrażenie, że muzycy nie grają dla słuchaczy, ale sami dla siebie, toteż nie można się dziwić, że rozpalony grill i parasole jednego ze sponsorów budziły spore zainteresowanie. Wieczór był chłodny. Jeśli bohaterowie sceny nie potrafili rozgrzać publiki, należało sięgnąć po jakiś ekwiwalent.

W czwartek natomiast obyło się bez zmiany repertuaru, za to koncert Lubelskiego Tria Jazzowego musiał się odbyć aż 1,5 h wcześniej. Skutkiem takiej zmiany programowej, zgromadziła się mniejsza publiczność niż w dniu poprzednim. Część pewnie nie zdążyła odnotować tego niespodziewanego przesunięcia, inni wybrali widowiska teatralne. A szkoda, bo trzech lubelskich muzyków – Michał Iwanek, Jarosław Goś i Piotr Wróblewski – dało bardzo dobry koncert. Aranżacje zespołu były utrzymane w świetnym klimacie, muzyka była jasna, barwna i harmonijna. Doświadczenie muzyczne odzwierciedliło się w swobodnych solówkach i dobrze opracowanych standardach.

Szkoda, że z wydarzeniami towarzyszącymi związane było tak duże zamieszanie. Nie da się nie zauważyć, że miało to istotne konsekwencje: poziom koncertu śródogodowego daleko odbiegał od standardu koncertu planowanego, a przesunięcia godzinowe sprawiły, że Lubelskiego Tria Jazzowego słuchało mniej osób.

Został nam jeszcze jeden koncert na zakończenie „Sąsiadów”, Red Shoes, czyli Boogie Band (**zwracamy uwagę na sygnalizowane wcześniej zmiany w programie – koncert zaczyna się o godzinie 20.00**). Oby grali tak dobrze, jak goście czwartkowi, a publiczność była tak liczna jak w środę.

Amelia Zgierska

„To jest Szekspir, Dagmarka!”

Teatr Lalkowy z Żyliny, *Otello*

Teatr Lalkowy z Żyliny na tegorocznych „Sąsiadach” przedstawił własną wersję „Otella”. Dramat okazał się jednak jedynie pretekstem do zaprezentowania zdolności aktorskich i kabaretowych zespołu.

Przedstawienie, reżyserii James'a Nvota, zrealizowane było w konwencji teatrów wędrownych, do tego typu teatru nawiązywała także scenografia i kostiumy. Scena pełna rekwizytów, aktorzy ubrani w barwne stroje, a lalki były dwie i... pojawiły się na moment, wyskakując z dolnej części garderoby jednego z aktorów, któremu przypadła w udziale rola Kasja. Cały spektakl opierał się na koncepcji teatru w teatrze, co jest jednym z elementów charakterystycznych dla Szekspira.

Zespół zaczął od swego rodzaju wstępu, w którym aktorzy mieszały się z publicznością, zapraszając ją tym samym do wspólnej zabawy. Już na scenie, jeden z bohaterów najpierw całą grupę przedstawił, jak często zdarza się w przypadku teatrów wędrownych, później zapytał: „Chcecie Otella? Widzę, że nie chcecie. No to zagramy.” Spektakl nasycony dowcipem już od pierwszych chwil.

Potem odbył się casting na nową muzę dla Teatru, któremu poprzednia po prostu się... wypaliła. Gdy już wybrano piękną niewiastę, zaczęto grać „Otella”. Ale to nie koniec problemów naszej wędrownej trupy... Na scenę co chwilę wbiegała kobieta, grająca zazdrosną żonę odtwórcy roli Otella - Dagmara, postać potęgująca wrażenie teatru w teatrze. Odbierając grę swego męża zbyt poważnie, dodawała komizmu całemu spektaklowi, a w przerwach grała na akordeonie. Dagmara percypowała „Otella” tak jak go grano, dosłownie, bez większego ukrywania się przy zmianie kostiumów, ról, dekoracji. Gdy Otello patrzy na świat zazdrosnymi oczyma, na scenie pojawiają się... niesione przez aktora oczy! Jak statek ma tonąć, to wszyscy aktorzy zgodnie padają na ziemię. Upersonifikowane „Zło” oplata Jagona, włączając mu na plecy i obejmując nogami. Przewrotny powrót do „teatru koturnowego”... główny bohater wchodzi na scenę właśnie w koturnach!

Dosłowność, dosłowność i jeszcze raz dosłowność. Ale na tym właśnie dowcip polega. Jest to również dosłowność idealnie wpisująca się w przyjętą konwencję. Wędrowna trupa zabawia publikę tak, że głośnie salwy śmiechu i entuzjastyczne brawa co chwila burzą wieczorną ciszę Ogrodu Saskiego. Nikomu nie przeszkadza bariera językowa... Aktorzy, z właściwą Słowakom pogodą ducha i dawką dobrego humoru, niszczą wszelkie bariery. Po kilku chwilach każdy, nawet ja - zupełny laik w kwestii języka - rozumie następne żarty i śmieje się z kolejnego gagu. Kontakt, jaki zlapali z publicznością już od pierwszych minut spektaklu, jest naprawdę zaskakujący i niepowtarzalny. Przenieśli nas do innego świata, a więc, moim zdaniem, jedna z ról teatru została spełniona. Do tego wszystkiego muzyka na żywo (Andrzej Kalinka), również w klimacie odpowiadającym nastro-

jom; skoczna, czasem z lekkim fałszem, który jest jak najbardziej na miejscu.

Całość niesamowicie zabawna, wesoła i przyjemna, godzina udanej zabawy. Niby nie było to ani nic innowacyjnego, ani głębokiego, ale miło na chwilę zapomnieć o reszcie świata, swobodnie płynąć razem z opowiadaną historią i śmiać się do łez. Co do Szekspira... Nie poświęcono mu zbyt wiele uwagi, ale pewnie nie obraziłyby się za takie wykonanie, mimo iż tragedia stała się komedią. Za to świetną komedią!

Ewa Wojcieszyn

DZISIAJ:

18:00 – Skrawki, Teatr Malabar Hotel

Fragmenty „Otella” przepleciono tekstami autorskimi zespołu. Wskutek tego rozbito oryginał, pokazano jego skrawki. Skrawki te można odnieść do swoistego nieokreślenia, bowiem na osobowość każdej z postaci składa się problem binarności dusza-ciało. Problem tożsamości dodatkowo skomplikuje kwestia dzieciństwa i jego wpływu na dorosłe życie. Dzięki takim zabiegom w spektaklu panuje atmosfera sztuczności, **n e r w o w o ś c i i c h a o s u .**

20:00 – Romeo i Julia, Teatr Anpu

Spektakl za liczony jest do przedstawień rozrywkowych, wręcz humorystycznych. Nie należy jednak zapominać o tym, że jego tematyka jest jak najbardziej poważna (dotyczy miłości i śmierci dwojga kochanków). Dużą rolę odgrywa w nim kolorowa scenografia, w której grają marionetki w połączeniu z **a k t o r a m i .**

22:00 – Spotkać Prospera, Teatr Voskresinnia

Jest to przedstawienie uliczne, które zawiera w sobie aż cztery inspiracje szekspirowskie: „Burzę”, „Sen nocy letniej”, „Romea i Julię” oraz „Hamleta”. Spektakl to alegoria losu człowieka, porusza tematy takie jak: miłość, zdrada, śmierć, radość, namiętność i cierpienie. Głównym bohaterem jest tu niedostępny kreator rzeczywistości, czyli Prospero, który pomaga w realizacji alegorii życia do teatru i ludzi do aktorów.

Przygotowała: **Katarzyna Myszak**

Redakcja: Katarzyna Myszak, Kaśka Piwońska, Kaśka Plebańczyk, Stanisław Śliwa, Ewa Wojcieszyn, Amelia Zgierska,

Redaktor naczelna: Justyna Czarnota, tel. 0 509 782 849.

Adres redakcji: Zakład Teatrolologii UMCS, pl. Marii Curie-Skłodowskiej 5, 20-031 Lublin, e-mail: 5sciana@wp.pl

Nasz blog: www.teatrolologia-umcs.blogspot.com

Zapraszamy do współpracy!